

Powojenne fale emigracji polskiej do Nowej Zelandii i ich skład społeczny

II wojna światowa zapoczątkowała nowe dzieje Polaków w Nowej Zelandii. Po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat znalazła się tu ona większa liczba Polaków. Rząd Nowej Zelandii przyjął ponad 700 polskich sierot wraz z opiekunami, które wyszły ze Związku Sowieckiego – z domu niewoli wraz z Armią Polską dowodzoną przez gen. Władysława Andersa w 1942 roku.

Wojna skończyła się w maju 1945 roku. Jednak władzę w Polsce objęli agenci Stalina i droga powrotu dzieci z obozu w Pahiatua do kraju została zamknięta. Wówczas rząd nowozelandzki wyraził zgodę na akcję łączenia rodzin, prowadzoną przez Polish Orphans Draft, w wyniku której przybyła do Nowej Zelandii ok. 500 osobowa grupa Polaków przebywających dotychczas na Zachodzie, w tym ojcowie niektórych dzieci z obozu w Pahiatua. Zezwolono również na przyjazd z Wielkiej Brytanii także ok. 250 byłym żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, które uległy rozwiązaniu w 1947 roku (w tym ich rodziny). W latach 1949-52 przybyło do Nowej Zelandii za pośrednictwem International Refugee Organisation (IRO) ok. 850 Polaków z obozów dla tzw. „displaced persons” (DP) w Niemczech i Austrii, z których połowę stanowili byli żołnierze wojska polskiego – więźniowie niemieckich obozów jenieckich. Wszystkie te osoby przyjeżdżały tu na obowiązkowe dwuletnie kontrakty pracy. Później i do końca lat 70. XX w. do Nowej Zelandii w różny sposób przyjechało na pobyt stały 1114 Polaków. W 1966 roku społeczność polską w Nowej Zelandii szacowano na 3-3,6 tys. osob. Większość z nich mieszkała w dużych miastach Wyspy Północnej, przede wszystkim w Wellington i Auckland, jak również w Hutt, Hamilton, New Plymouth i Christchurch na Wyspie Południowej.

Jednak pojedynczych Polaków można było i można spotkać w dziesiątkach innych miejscowości. Np. wychowanka obozu polskiego w Pahiatua Julia Glińska wyszła za mąż za Nowozelandczyka Andersona, który wiele lat był kierownikiem szkoły na wyspie Stewart; inna wychowanka obozu w Pahiatua i zaangażowana w działalność Polaków tak w Christchurch jak i Dunedin Czesława Panek mieszka w Oamaru; w Balclutha mieszkał i praktykował jako lekarz uczestnik Powstania Warszawskiego 1944 dr Stanisław Józef (Stan) Muller; mieszkający obecnie w Auckland Igor Drecki przez kilka lat mieszkał w miasteczku Tauranga.

Personel i wychowankowie obozu w Pahiatua zamieszkali głównie w Wellington. Reszta się rozproszyła po całym kraju. Np. w Auckland z 102-osobowego personelu obozu osiedliło się pięć osób: Jadwiga Szymańska (z rodziną), Salonea Surynt (z rodziną), Anna Rubisz (z rodziną), Stanisława Kołodyńska (z rodziną) oraz Franciszek Bala. Kilka osób, jak np. nauczycielki Wanda Pietrańska i Maria Bucewicz, później wyjechały do Australii.

W rejonie Wellington-Hutt mieszkało ponad 51% DP-isów i 57% byłych wychowanków obozu w Pahiatua. Zwartość środowiskowa sprawiła, że 36% mężczyzn o 47% kobiet urodzonych w Polsce zawarło do 1964 roku związki małżeńskie z rodakami.

Wśród emigrantów polskich znalazły się znane osoby, jak np. dr Kazimierz Wodzicki – konsul generalny RP w Nowej Zelandii 1941-45; Wojciech Francki - słynny komandor, kolejno dowódca polskich niszczycieli „Burza” i „Orkan”, a podczas II wojny światowej dowódca niszczyciela „Błyskawica”; Wiktor Plewiński - były dyplomata polski; Antoni Głowacki - inspektor Szkoły Lotniczej w Dęblinie, uczestnik Bitwy o Anglię w 1940, pilot słynnego polskiego dywizjonu 303, a następnie dowódca dywizjonu 309 i major lotnictwa brytyjskiego; Tadeusz Szczerbo-Niefiedowicz - kapitan statku „Narwik”, Zygmunt Węgorek – pułkownik WP czy Marian Gorzkowski (pseudonim „Szary”) – jeden z bohaterów Powstania Warszawskiego 1944, kawaler orderu Virtuti Militari.

Spośród przybyłych do Nowej Zelandii w trakcie i po II wojnie światowej imigrantów polskich (a więc bez wychowanków obozu w Pahiatua) aż pięć szóstych pracowało fizycznie, głównie z braku dobrej znajomości języka angielskiego czy z niemożności nostryfikowania swoich dyplomów lub uznania innych świadectw. Jako... ogrodnik pracował komandor Wojciech Francki, w fabryce opon musiał pracować dentysta z zawodu Zygmunt Rubisz. Spora grupa byłych kombatantów pracowała w fabryce opon (Reid Rubber Factory) w Auckland. Wśród pracowników fizycznych i zatrudnionych w usługach stosunkowo liczna była jednak grupa pracowników kwalifikowanych. Reszta pracowała we własnych przedsiębiorstwach lub wolnych zawodach oraz w prywatnych biurach i urzędach państwowych (z przewagą kobiet). Większe szanse znalezienia lepszej pracy mieli wychowawcy obozu w Pahiatua, którzy opanowali język angielski. Np. w Auckland jako urzędniczka pracowała Jadwiga Szymańska. W centralnym Urzędzie Podatkowym (Income Tax) w Wellington w latach 60. XX w. pracowało jako urzędnicy 10 Polaków.

Ci, którzy przyjechali na koszt rządu nowozelandzkiego musieli odpracować dwuletni kontrakt. Jako robotnicy fizyczni byli kierowani przez urząd pracy do budowy elektrowni, do fabryk i do pracy na roli. Kobiety często kierowano do pracy w szpitalach. Po odrobieniu kontraktu mniej więcej połowa z nich pozostała w rejonie gdzie odrabiała kontrakt, a reszta osiedliła się głównie w Wellington i - dużo mniej - w Auckland i kilku innych wspomnianych wyżej miejscowościach, gdzie powstały zorganizowane mniej lub więcej skupiska polskie.

Dużo młodzieży polskiej z byłego obozu w Pahiatua oraz z burs dla młodzieży polskiej w Wellington ukończyło tamtejszy uniwersytet (50 osób) oraz szkoły średnie, awansując tym

samym zawodowo i społecznie w społeczeństwie nowozelandzkim. Niektórzy z nich zajmowali wysokie stanowiska i dorobili się dużego majątku, jak np. Jan (John) Roy-Wojciechowski – przemysłowiec, m.in. dyrektor firmy Mair Astley, którego majątek prywatny był oceniony na \$15 milionów.

Spora grupa młodzieży polskiej spoza obozu również ukończyła studia, jak np. w Auckland wszystkie dzieci państwa Franckich: Irena, Ryszard i Mateusz oraz Andrzej Doroszkowski. Ten ostatni ożenił się z Ireną Francką i przenieśli się do Anglii, gdzie Doroszkowski został wykładowcą uniwersyteckim.

W wyniku kryzysu polityczno-gospodarczego PRL (powstanie „Solidarności” 1980, stan wojenny grudzień 1981), kraj opuściło wiele tysięcy Polaków, których wiatry pognały na wszystkie strony świata. W latach 1981-83 Nowa Zelandia przyjęła 320 tych uchodźców, a w latach 1982-98 aż 1333 Polaków z emigracji posolidarnościowej otrzymało prawo stałego pobytu w Nowej Zelandii. Po 1989 roku, a więc po upadku reżymu komunistycznego w Polsce, w Nowej Zelandii osiedliło się ok. 300-500 osób z Polski.

Powyższa statystyka nie obejmuje ok. 200 Polaków, którzy osiedlili się na stałe w Nowej Zelandii, przybywając tu na paszportach brytyjskich, australijskich czy kanadyjskich.

Spis powszechny, przeprowadzony w Nowej Zelandii w 1996 roku wykazał 3222 osoby przyznające się do polskiego pochodzenia, z których 1956 podało Polskę jako miejsce urodzenia: 975 mężczyzn i 1023 kobiet. Natomiast spis powszechny z 2001 roku wykazał 1938 osób urodzonych w Polsce, w tym 906 mężczyzn i 1029 kobiet. Spis z 2001 roku wykazał 2463 osoby posługujące się na co dzień językiem polskim, w tym 1155 mężczyzn i 1311 kobiet. Spośród nich 831 było w wieku powyżej 60 lat, co stanowiło aż 34% osób posługujących się językiem polskim. Natomiast spośród 495 dzieci do 10 lat (252) i młodzieży do 19 lat (243) tylko 282 dzieci (99) i młodzieży (183) zna język polski. W latach 1991-2001 liczba osób urodzonych w Polsce zmniejszyła się z 2046 do 1938. W następnych 5-latkach spisowych liczba osób urodzonych w Polsce jeszcze bardziej drastycznie się zmniejszy, gdyż spis z 2001 roku wykazał aż 519 osób w wieku powyżej 60 lat, co stanowiło prawie 27% ogółu osób urodzonych w Polsce.

Duży odsetek przedstawicieli emigracji posolidarnościowej ukończyło wyższe studia w Polsce. Nie wszyscy jednak mogli znaleźć pracę w swoim zawodzie. Możliwość pracy w swoim zawodzie czy na uczelniach mieli ci, którzy studiowali dodatkowo lub pracowali naukowo w Anglii czy USA przed przyjazdem do Nowej Zelandii. Niektórzy Polacy nostryfikowali swoje dyplomy, a inni musieli dodatkowo studiować. I studiowali, choć to wcale nie było łatwe. Np. przebili się w swoim zawodzie m.in. mieszkający w Auckland: Małgorzata Bilska jako lekarz, Marian Sosna jako specjalista od komputerów, Igor Drecki oraz Tomasz i Ewa Kusiowie jako nauczyciele muzyki. Na Lincoln University pod Christchurch w laboratorium parazytologa prof. Mirosława Stankiewicza pracuje 3 Polaków.

Młody gitarzysta ze Szczecina Robert Prochownik, który osiadł w Auckland miał niewielką szansę na szybkie zrealizowanie swojego marzenia zostania znanym gitarzystą w nowym kraju. Wziął się więc za interesy w budownictwie i szczęśliwie powiodło mu się. Dziś na pewno jest człowiekiem sukcesu: ma ekskluzywną willę i jeździ BMW „siódemką”. No i powrócił do swojej gitary. W 1999 roku wydał album jego grupy (w której sam gra) gitarzystów „Virtual Quay” zatytułowany „Obrazki końca świata”, czyli z Nowej Zelandii. Pracowitością i determinacją dopiął swego.

Do 1980 roku Wellington był bezkonkurencyjnie największym skupiskiem Polaków w Nowej Zelandii. Pozostaje takim po dziś dzień. Jednak emigracja posolidarnościowa bardzo zmieniła mapę rozmieszczenia Polaków w „Kiwilandzie”. Tym razem dużo Polaków osiedliło się w Auckland; tylko w latach 1982-83 Polonia aucklandzka podwoiła się liczebnie. W 1990 roku mieszkało w tym największym mieście Nowej Zelandii ok. 500 Polaków. Osiedlili się tu m.in. pracujący na tutejszym uniwersytecie: prof. Janusz Lipski – mikrochirurg, dr Lech Jaczewski – informatyk, dr Krzysztof Iwan – fizyk, mgr Waław Duda – specjalista komputerowy oraz prof. Roman Antoszewski – znany tu głównie jako literat i propagator literatury polskiej, Krzysztof Pfeiffer - wybitny fotografik, dr Lech Beltowski – lekarz Polaków, Kazimierz Jasica – przemysłowiec, inż. Tomasz Głowacki – znany konstruktor jachtowy, Bogusław Nowak – dziennikarz z Polski, a tu właściciel i dyrektor pierwszego polskiego biura podróży w Nowej Zelandii – Green Lite Travel oraz współautor pierwszego w języku polskim przewodnika po Nowej Zelandii pt. „Nowa Zelandia daleka i bliska” (Słupsk 2001), Jacek Drecki – geograf, działacz polonijny i wydawca publikacji dotyczących spraw polskich.

Powstały nowe, prężne skupiska polskie w Christchurch, Dunedin i Hamilton.

W Christchurch, w którym do 1980 roku mieszkało tylko ok. 20 wychowanków obozu w Pahiatua, teraz osiedliło się ok. 60 osób z emigracji posolidarnościowej: 16 osób z emigracji solidarnościowej (1982-83), do których dołączyli później marynarze schodzący tu z polskich statków i proszący o azyl polityczny, osoby przybywające na zaproszenie członków rodziny mieszkających w Christchurch, lub ludzi przybywających jako turyści i decydujący się pozostać w Nowej Zelandii na stałe. Obecnie w Christchurch mieszka około 120 Polaków pierwszego pokolenia. W Christchurch mieszkają profesorowie tutejszych uniwersytetów: Krzysztof Pawlikowski – informatyk, Mirosław Stankiewicz – biolog, Jan Tawroszewicz – muzyk, Edward Sakowski – konserwator sztuki, Jacek Pawłowski - utalentowany i ceniony jubiler-złotnik, Kazimierz Pucia z Zakopanego - wspinacz skałkowy, były mistrz Nowej Zelandii, Alina Suchański – współorganizatorka rodziny polonijnej w Christchurch i producent filmu dokumentalnego „Poles apart. The story of 733 Polish orphans” (2004).

Mała społeczność polska w Dunedin jest bardzo ambitna. Mieszka tu m.in. prof. Jan Pająk, Ludmiła Sakowska – konserwator sztuki oraz zasłużone działaczki polonijne Sława Pociecha i Anna Gruczyńska.

W Hamilton mieszka m.in.: Jacek Maryniak, który kieruje centrum audio-wideo na Waikato Politechnic, a Zbigniew (Ziggy) Bojarski jest „grubą rybą” w Ministerstwie Rolnictwa i Leśnictwa oraz głównym inspektorem higienicznym tutejszych wielkich targów rolnych – National Agricultural Fielddays. Nie, nie przyszło im łatwo zdobycie tych stanowisk. Zbigniew Bojarski mówi: „Mimo iż miałem polski dyplom (lekarza weterynarii), nie mogłem pracować tu jako lekarz. Musiałem jeszcze dwa lata dodatkowo studiować. Było nam ciężko finansowo. Wtedy przez stresy dwa razy wylądowałem w szpitalu”. Z kolei Jacek Martyniak cztery lata męczał się zanim opanował język angielski i uznano mu dyplom.

Znane polskie powiedzenie: „Cudze chwalicie, swoje nie znacie, sami nie wiecie co posiadacie” odnosi się nie tylko do polskich malkontentów, ale również nowozelandzkich. Stąd co roku tysiące Nowozelandczyków wyjeżdża do Australii, myśląc, że tam szybciej i łatwiej dorobią się dużego majątku. Obecnie w Australii mieszka 400 000 Nowozelandczyków.

Ten trend nie ominął niektórych Polaków przybyłych do Nowej Zelandii w ostatnich 20 latach. Dotyczy on głównie tych, którzy wyobrażają sobie życie na emigracji jako coś łatwego, a kraje Zachodu jako „rogi pełne obfitości” nawet dla tych co mają dwie lewe ręce do pracy czy są wręcz bumelantami. A wielu młodych ludzi dzisiaj po prostu oczekuje od życia bardziej uprzyjemnień i ułatwień, niż wyzwań i okazji odważnych czynów.

Wielu imigrantów polskich - przedsiębiorczy i bardzo często mający wyższe wykształcenie, potrafiło jednak urządzić się tutaj dobrze czy często bardzo dobrze, na co wskazują przytoczone powyżej fakty. I są zadowoleni z tego co osiągnęli, tym bardziej, że jest to nieporównywalne z tym co mieli w komunistycznej Polsce. Dla niektórych jednak Nowa Zelandia jest krajem zbyt nudnym (raczej to oni nie są w stanie uczynić swoje życie bardziej interesującym; czy doprawdy życie w milionowym mieście jakim jest Auckland może być nudne?!), bez perspektyw (jakich?), o małych zarobkach (stopa życiowa w Nowej Zelandii jest bardzo duża; dochód narodowy na 1 mieszkańca wynosi tu 13.250 dolarów amerykańskich, gdy w Australii 19 900 dol. – jednak ceny są wyższe niż w NZ -, a w Polsce zaledwie 4 230 dol.) i niskich zasiłkach dla bezrobotnych.

Bogusław Matuszkiewicz w swoim reportażu „Polacy na krańcach świata” przytacza uwagi o życiu w Nowej Zelandii dwóch osób z emigracji solidarnościowej. Niezadowolony – Włodzimierz Ciechanowski mówi: – Po pół roku tu pobytu chciałem wracać do Polski. Trudno było mi się dostosować do życia w tym kraju – język plus duże różnice kulturowe. Uważam też, że jest to kraj, w którym trudno się dorobić. Standard życiowy jest tu dużo niższy niż w Australii czy Europie Zachodniej. Polacy mieli duże oczekiwania, ale wielu z nich wyjechało do innych krajów. Ot, tutaj jest taka duża, spokojna wieś...”. Słyszac to Andrzej Matuszewski włącza się do rozmowy mówiac: „Może jest to wieś, ale bardzo miła. Cenię sobie ten kraj właśnie za spokój i poczucie bezpieczeństwa. Ci, co chcieli bardziej prężnego i awanturniczego życia lub nie chcieli nic dać z siebie – to wyjechali. Tu ludzie są bardzo spokojni i chętnie sobie pomagają. Nikt nie jest dyskryminowany z tego powodu, że jest emigrantem; ludzi nie dzieli się na kategorie. I za to najwięcej cenię sobie Nową

Zelandię”.

Krzysztof Krztoń z Hamilton, który w Nowej Zelandii zrobił duże pieniądze (otworzył swój biznes – Kristof Fried Chicken), powiedział Bogusławowi Matuszkiewiczowi: „...można zrobić tu grubą forszę, ale trzeba chcieć, mieć pomysł i coś konkretnego umieć”.

Andrzej Matuszewski ma rację. Ci polscy malkontenci, z pewnością zarażeni przez nowozelandzkich „zawsze niezadowolonych”, po otrzymaniu nowozelandzkiego obywatelstwa (które można uzyskać po 3 latach od przyjazdu) wyjechali lub planują wyjechać szukać szczęścia w Australii. Jak liczna była to grupa trudno ocenić, można ją oceniać na 200-300 osób.

Czy są zadowoleni z życia w Australii? Należy w to wątpić, bo takim ludziom trudno dogodzić będzie nawet w raju. Zadowoliliby ich tylko to, jakby rzeczywiście prawdą było to, w co wielu Polaków w Polsce wierzy, że na Zachodzie pieniądze rosną na drzewach, albo leżą na ulicy. I starczy albo zerwać je z drzewa, albo podnieść z ziemi i żyć sobie jak król. Niestety, tak nie jest. W Australii czy w USA żeby być bogatym trzeba zazwyczaj poza koniecznym do tego szczęściem także ciężko pracować. A w dobie globalizacji jeszcze ciężiej. W Australii stopa życiowa od 1970 roku spadła aż o 33%. Dzisiaj żeby przeciętna rodzina australijska mogła sobie kupić domek jednorodzinny musi pracować mąż i żona, a wśród emigrantów jest dużo, dużo większe bezrobocie od podawanych oficjalnych danych. Stąd niewielu Polaków przybyłych do Australii z Nowej Zelandii zrobiło tu karierę i wzbogaciło się. Nikt na nich nie czeka z kwiatami. Sylwester Zwoliński z Auckland wspomina, że kiedy był w Perth – stolicy Zachodniej Australii usłyszał jak pod jego adresem powiedziano: „następny darmozjad, który będzie żebrał o pracę”.

W Nowej Zelandii pozostali i pozostają ci, a jest to zdecydowana większość spośród przybyłych tu ostatnio Polaków, którzy „akceptują miejscowe zwyczaje, lubią przyrodę, spokój, doceniają zalety życia na obrzeżach wielkiego świata i nie przeszkadzają im w tym (rzekomo) mniejsze niż w Australii zarobki”.

Niektóre osoby, które wyjechały do Australii w pogoni za większym kawałkiem szynki (bo nie chleba!), po latach powróciły do Nowej Zelandii (np. Wiktor Pławiński z Auckland). Stwierdzili, że wszędzie dobrze gdzie nas nie ma, że Nowa Zelandia jest jednak miłym krajem i ciągle krajem „mlekiem i miodem płynącym”, w którym warto żyć.

Jeszcze inni emigranci z Polski, prawdopodobnie przestraszeni obcością otoczenia i pod wpływem znanego polskiego pytania retorycznego: „gdzie nas nie ma na świecie?” (co czwarty Polak – ok. 12 mln - mieszka poza Polską), są rozczarowani, że nie znajdują Polski w... Nowej Zelandii. Jeden z nich – Sylwester Zwoliński - poskarżył się na ten fakt na stronie internetowej Polskiej Agencji Prasowej „Polonia dla Polonii” pisząc: „Wyemigrowałem niedawno do Nowej Zelandii i zauważyłem, że prawie niemożliwie jest znaleźć jakąś informację o miejscu spotykania się Polaków... czy o bibliotekach. Wszystkie

drogi prowadzą do kościoła, mszy, życia katolickiego... udało mi się znaleźć polski klub (?), który chyba zawsze jest zamknięty... Oj, coś cieniutko z naszą Polonią”.

Odpowiedział mu Bogdan Nowak z Auckland: „Z uwagą przeczytałem tekst rozczarowanego Polonią w Nowej Zelandii i Australii pana Sylwestra Zwolińskiego... Chciałbym natomiast poprosić pana Sylwestra o kontakt, aby opowiedzieć mi, co nieco, o tutejszej Polonii, która w odróżnieniu od australijskiej nie jest liczna... Owszem, większość polonijnych dróg zbiega się w kościółku przy St. Pauls College w Auckland, ale środowisko katolickie jest tutaj najliczniejsze i najbardziej aktywne. W każdą niedzielę, po polskiej mszy, spragnieni rozmów, polskich ciast i pączków (a także świeżych plotek) rodacy spotykają się na przykościelnym placu. Nie jest to jedyna aktywna grupa polonijna. Regularne spotkania ma Klub Literacki, w każdą niedzielę o godz. 17 nadawana jest 45-minutowa audycja radiowa w języku polskim (od 1991 roku)... Dom Polski w Auckland i podobny w Wellington są otwarte w każdą niedzielę oraz podczas imprez okolicznościowych, rocznicowych i zabaw tanecznych, o których informuje wspomniana audycja polonijna. Jak wiele środowisk polonijnych na świecie, również i nowozelandzkie cierpi na brak rąk do działalności społecznej, ale i tutaj są ludzie z różnych pokoleń emigracji, którzy robią wiele dla środowiska. Mam nadzieję, że do grona polonijnych społeczników dołączy pan Sylwester”.

Czy dołączył?

Marian Kałuski